

*Przyjaciółki  
ze  
Staromiejskiej*

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015  
Text © by Anna Mulczyńska 2015

Projekt okładki *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*  
Zdjęcie na okładce: © Aragami12345 | Dreamstime.com

ANNA MULCZYŃSKA

*Przyjaciółki  
ze  
Staromiejskiej*

Nasza Księgarnia

## *Rajmonda*

*Toronto, 16 marca 2012*

Ania Bednarek zaczęła widywać duchy tuż przed premierą *Rajmondy*. Gdy myślami powracała do chwili, kiedy po raz pierwszy kątem oka ujrziała kilka metrów od siebie przejrzystą postać obserwującą ją w milczeniu, od razu przypominał jej się wieczór przed premierowym przedstawieniem, w którym miała zatańczyć główną rolę. Stała pośrodku studia urządzonego przez narzeczonego na ostatnim piętrze budynku, w którym wynajmowała mieszkanie, i dyszała ciężko po odtańczeniu kilkuminutowej wariacji z trzeciego aktu. Na plecach czuła strużki potu spływające wzdłuż kręgosłupa aż do talii, opiętej przez materię przechodzącą w tiulowe ćwiczebne tutu. Szybkimi łykami pochłaniała wodę mineralną z półtoralitrowej plastikowej butelki i zastanawiała się, jak dużo jeszcze będzie w stanie wycisnąć ze swojego ciała.

Próby do baletu trwały od dobrych trzech miesięcy, ale dopiero ostatni tydzień dał tancerzom tak mocno w kość, że czuli się jak półżywe maszyny do tańczenia. Przez te dni Ania, podobnie jak reszta zespołu, niemal nie opuszczała teatru. Ćwiczyli wszędzie: na scenie,

na korytarzach i w studiach, trwały ostatnie poprawki w choreografii, zgrywano wszystkie sceny w całość i korygowano ostatnie błędy. Ania wraz z innymi brała udział w tych przygotowaniach, w bezprzewodowych słuchawkach nałożonych na kształtną głowę powtarzała raz po raz elementy swojej roli, tańcząc, gdzie się tylko dało; każdy kawałek podłogi kusił, żeby postawić na nim jeszcze kilka kroków, każda balustrada doskonale imitowała drążek do ćwiczeń, przy którym można było się rozciągnąć. Do domu nie wracała, przysypiała na kanapach poustawianych na korytarzach, z muzyką w uszach, aby nie słyszeć przechodzących obok kolegów. Jedzenie, oddychanie, spanie i odpoczynek straciły nagle znaczenie. Zawsze tak było – przed każdą premierą ludzie baletu całkowicie zatracali się w sztuce i stawali się kimś innym, wchodzili w swoje role na sto procent, przestawała ich obchodzić rzeczywistość przepływająca spokojnie wzdłuż murów opery. Ania czuła wyraźnie, że straciła kontakt z realnym światem, biegając z jednej próby na drugą, gubiąc się pomiędzy przymiarką kostiumów a niespokojną drzemką ucinaną w przerwie. Znikała powoli Anna Bednarek, a w jej miejsce pojawiała się księżniczka Rajmonda, wyczekująca Jeana de Brienne’a i wypatrująca go w znakach dawanych przez Białą Damę w nocnym ogrodzie.

Ostatnią noc przed spektaklem postanowiła spędzić w swoim mieszkaniu, jednak aby nie zapomnieć kroków, ćwiczyła je gorliwie jeszcze przez godzinę w po-

mieszczeniu na poddaszu, zaadaptowanym na salę tańieczną. Oświetlał ją jedynie blask księżyca, wpadający przez wysokie okna i odbijający się w lustrach powieszonych na ścianach. Zimne marcowe wietrzysko wdzierające się przez nieszczelne okna bawiło się drzewami rosnącymi na ulicy i poruszało gałęziami w identycznym tempie, w jakim balerina wirowała przed chwilą wokół własnej osi. W trakcie ćwiczeń znowu wyłączono prąd, ale Ania nie przestawała tańczyć. Muzyka brzmiała w jej głowie, w mózgu miała zapisany każdy takt swojej wariacji. Zdążyła się przyzwyczać do nagłych przerw w dostawie elektryczności. W końcu była w Kanadzie – tu ludzie mieli obowiązek trzymać w domach zapasy żywności i wody na kilka dni na wypadek nagłego ataku zimy. Tu na nikim nie robiła wrażenia marcowa śnieżycy, pod warunkiem że dało się w ogóle otworzyć drzwi wejściowe, które śnieg lubił zasypywać do wysokości półtora metra, tak że aby wydostać się z domu, należało wykopać w ogrodzie tunel w zaspach. W porównaniu z uciążliwym odśnieżaniem chwilowa przerwa w dostawie prądu wydawała się nieznaczącą niedogodnością. Zapalano latarki lub lampiony, a bardziej niecierpliwi włączali umieszczone w garażach i przybudówkach generatory prądu zasilane benzyną i powoli wszystko wracało do normy.

Rajmonda nie była najłatwiejszą rolą. Długi i wyczerpujący balet wymagał od solistów energii i chociaż Ania odbyła wiele intensywnych prób w ostatnich dniach,

wciąż czuła lekką obawę przed wyjściem na scenę. Ogarniał ją dziwny strach, zupełnie inny niż trema, która zżerała ją przed wcześniejszymi występami. Tremę umiała pokonać – znikala, gdy tylko Ania dotykała sceny czubkiem pointy, ale tym razem czuła głęboko zakorzenioną obawę, że nie sprosta roli. Ćwiczyła i ćwiczyła, lecz wciąż czuła, że coś jest nie takie, jakie powinno. Lustra nie potwierdzały tych licznych zastrzeżeń, jednak tancerka z uporem powtarzała kilka sekwencji, dopracowując drobne detale. Była to ostatnia rola tańczona w sezonie wiosennym, później zamierzała wziąć kilka tygodni urlopu, by przygotować się do ślubu, który zaplanowali z Rayem na czerwiec.

Tego wieczoru wciąż jeszcze myślała, że ten delikatny ruch zwielokrotniony przez lustrzaną salę, zauważony kątem oka, tylko jej się przywidział. Była w domu sama, Ray poleciał do Kelowny, do rodziców; pokłócili się kilka dni temu, więc wiedziała, że nie powinna oczekiwać jego obecności na premierze. Miał zwyczaj znikać zawsze, gdy pojawiały się między nimi jakieś spięcia. Po prostu wyjeżdżał wtedy do domu, wybudowanego jeszcze przez jego dziada w Kolumbii Brytyjskiej, i tam, zaszyty jak wojownik w jaskini, lizał rany odniesione w zderzeniu z polską narzeczoną. Po powrocie sprawiał wrażenie nowo narodzonego i z reguły ani słowem nie wspominał o kłótniach. Postanowiła się nie martwić i dać mu czas na uporządkowanie emocji. Wyobraziła sobie, że jeszcze trzy, no, może cztery dni i znowu poczuje gorące ciało

ukochanego mężczyzny, zamykające ją w niedźwiedzim uścisku. Z tej radości zawirowała wokół sali, wykonała kilka *jetés* po przekątnej i na koniec zaprezentowała swojemu lustrzanemu odbiciu popisowy numer Anny Bednarek – serię piruetów. Kończąc wariację, zachwiała się lekko przy jednym z ostatnich obrotów, bo miała wrażenie, że zza okna śledzą ją czyjeś oczy. Była niemal pewna, że niewidoczna postać pokręciła z dezaprobatą głową na widok nieprawidłowego ułożenia ramion podczas piruetów, które utrudniało nieco zachowanie równowagi. Przerwała taniec i rzuciła się w stronę okna. Podejrzewała, że to kot sąsiadów z mieszkania obok znowu przeskoczył na jej parapet i stamtąd ją obserwuje. W zacienionym kącie nie zastała jednak nikogo, w szybie zobaczyła tylko swoje odbicie.

– Hej, polski aniołku, masz może dolara dla bezdomnego?!

Zdyszana Ania biegła właśnie wzdłuż University Avenue, spiesząc do teatru. Chciała się jak najszybciej schronić w ciepłym budynku, bo w marcowy poranek mróz wciąż nie odpuszczał i szczypał mocno w policzki, gdy ta prośba zatrzymała ją nagle na chodniku. Zerknęła w stronę, skąd dobiegał głos, i się roześmiała. To wołał za nią Rudy Rick, stary bezdomny urzędujący niedaleko opery w Toronto, pomiędzy budynkiem hotelu a biurowcem ze szkła i stali, gdzie z upodobaniem przesiadywał całymi dniami, strasząc swoim wyglądem.



– Cześć, Rick! – Ania ucieszyła się na jego widok. Dawno go nie widziała, już zaczynała się o niego martwić, ale najwyraźniej mężczyzna był nie tylko uodporniony na wszystkie choroby świata, lecz także nie szkodziła mu marcowa kanadyjska pogoda, która kazała Ani otulać się szczerle szalem zrobionym na drutach przez jedną z tancerek z zespołu. – Jak leci?! Znowu tkwisz tu bez śniadania?!

Ten tekst towarzyszył każdemu spotkaniu Ricka i Ani, począwszy od dnia, kiedy stała się częścią *corps de ballet* kanadyjskiego baletu i zaczęła krążyć pomiędzy budynkiem, gdzie zespół odbywał codzienne lekcje i próby, a operą. Rick tkwił bowiem na swoim posterunku dzień w dzień, czy to lato, czy zima, i żebrał, oskubując przechodniów z pojedynczych dolarów. Gdy po raz pierwszy zaczął Anię, czekała na pierwszą wypłatę i jej oszczędności przywiezione z Polski topniały w ekspresowym tempie. Właściwie była już pod kreską, poprzedniego dnia pożyczyła pięćdziesiąt dolarów od Lisy, swojej pierwszej kanadyjskiej przyjaciółki i koleżanki z zespołu, i miała nadzieję, że jakoś uda jej się dotrzeć do chwili, kiedy na puste konto wpłyną pierwsze zarobione tu pieniądze.

– Złotowłosa, może jakiegoś dolara albo dwa dla bezdomnego? – Wyciągnięta bezczelnie ręka zagroziła jej przejście, gdy spieszyła się na lekcję baletu.

Innym razem pewnie wymięłaby to wyciągnięte jak szlaban ramię, ale właśnie dowiedziała się, że jutro wy-

stąpi w swoim pierwszym przedstawieniu na scenie opery w Toronto. Miała co prawda zatańczyć tylko jednego z łabędzi tworzącego tło dla pierwszych solistów, ale i tak to było coś. Oznaczało bowiem, że nie tylko stała się częścią zespołu, lecz także poczuje pod stopami scenę. Niebagatelny był również fakt, że za każdy występ artyści dostawali specjalne dodatki pieniężne. Im więcej przedstawień, tym większa pensja – nawet w balecie prawa rynku działały bezlitośnie.

Zamachała obdartusowi przed nosem papierową torebką. Wracała właśnie z Tima Hortonsa, gdzie wydała trzy dolary na swoje ulubione śniadanie – dwa pączki w polewie czekoladowej i małą kawę. Zgodnie z wytycznymi dietetyka pozwalała sobie na jedzenie prostych węglowodanów jedynie rano i spalała je błyskawicznie na wymagających intensywnego wysiłku próbach.

– Nie mam pieniędzy, ale tym mogę się podzielić. – Wspaniałomyślnym gestem podetknęła bezdomnemu pod nos torebkę i zachęciła go, by ją przyjął. Wizja zatańczenia w *Jeziorze łabędzim* sprawiła, że euforia rozpie-rała ją, jakby połknęła balonik z helem. W tej chwili podzieliłaby się nawet ostatnim kęsem chleba.

Bezdomny nie skrzywił się na widok torebki. Złapał ją łapczywie i szybko dobrał się do zawartości, rozrywając szeleszczące opakowanie.

Od tego dnia widok Rudego Ricka towarzyszył Ani niemal codziennie. Lubiała te poranne chwile, kiedy kupowała w kawiarni dwa identyczne zestawy, dla siebie

i dla niego, i przysiadając od czasu do czasu obok Ricka na ławce, wymieniała z nim zdawkowe uwagi na temat pogody, polityki albo nadchodzącego kryzysu. Porównywali to z sytuacją w Polsce, której Rick co prawda nie umiałby pewnie umiejscowić na mapie, jednak nie przeszkadzało mu to zadawać dziesiątek pytań na temat ojczyzny Ani.

Tego marcowego poranka była już mocno spóźniona. Źle spała poprzedniej nocy, wierciła się w łóżku niemal do drugiej nad ranem, a gdy wreszcie udało jej się zdrzemnąć, ze snu wyrwał ją dźwięk budzika. Postanowiła biec od razu do teatru na ostatnie dopasowanie kostiumów do *Rajmody*, bo ostatnio schudła kilka kilogramów i złociste tutu księżniczki zaczęło smętnie wisieć na jej obojczykach, a miejsce, które jeszcze niedawno wypełniał niewielki biust, przypominało balonik z ulatniającym się powietrzem. Później, po przymiarkach, chciała przetańczyć jeszcze kilka układów z Viktorem, zanim oboje zaczną zżerać trema przed wieczornym podniesieniem kurtyny. Gdy zobaczyła Rudego Ricka, przypominającego kupkę brudnych szmat zostawionych pod budynkiem, aż miała ochotę klepnąć się w czoło. Całkiem o nim zapomniała.

– Zaczekaj, Rick, zaraz kupię ci coś do jedzenia. – Odwróciła się na pięcie i pobiegła do kawiarni. Aby wynagrodzić mu swoje zapominalstwo, poprosiła o kilka dodatkowych kanapek i kawę w rozmiarze XXL.

Gdy wróciła na stanowisko okupowane przez Ricka, już go tam nie było. Rozejrzała się, czy nie ma go gdzieś w pobliżu. Policja często przepędzała bezdomnych spod biurowca i wtedy krążyli wokół jak smutne spłoszone kruki. Zmarszczyła brwi, bo ruda broda mężczyzny mignęła po przeciwległej stronie ulicy, pod samym teatrem. Nie chciało jej się biec do pasów, więc przepuściła toczący się powoli wzdłuż Queen Street autobus, który przesłonił na chwilę widok, i przebiegła przez trzypasmową jezdnię, przeskoczyła przez trawnik pod pomnikiem, ciesząc się ze swojej lekkości, kolejne podbiegnięcie i już stała pod operą, gdzie jeszcze przed chwilą widziała bezdomnego. Znowu zniknął, więc zakreśliła się bezradnie, zastanawiając się, co zrobi z taką liczbą kanapek, jeśli nie znajdzie Ricka, który najwyraźniej postanowił pobawić się z nią w kotka i myszkę.

– Hej, widziałeś może, gdzie się podział Rick? – Zaczepiła kolejnego obdartusa, zmierzającego ku wejściu do stacji metra. – Przed chwilą tu był.

– Rick Ognista Broda? – Łysy mężczyzna odziany w wyświechtany, przepasany kawałkiem sznurka płaszcz zarechotał w odpowiedzi. – Rick jest teraz zupełnie gdzie indziej, o, tam. – Wskazał ręką w zachmurzone niebo, które groziło kolejnym atakiem śnieżycy. – Dwa miesiące temu usnął na ławce w parku, ślicznotko, i tam znalazła go nad ranem policja. Był już całkiem sztywny.

Ania pobladła. Rick? Rick nie żyje? Wolne żarty – przecież przed momentem z nim rozmawiała i był cały

i zdrowy. Rozsądek nie pozwolił jej uwierzyć w wersję przedstawioną przez obdartusa, więc uznała to za ponury żart. Ponieważ nie zmieniało to faktu, że Rick zniknął, podarowała jego koledze papierową torbę wypełnioną jedzeniem i skierowała się ku przeszklonemu wejściu do opery.

Nagle stanęła jak wryta, niezdolna do zrobienia kolejnego kroku. „Ja chyba jednak zwariowałam” – przecieciało jej przez głowę, bo w teatrze, za szklaną szybą, zobaczyła Ricka. Całego i zdrowego. Już miała do niego pomachać i opowiedzieć mu o niesmacznym żarcie, za jaki uznała teraz słowa bezdomnego, gdy Rick, zamiast otworzyć drzwi i wyjść na ulicę, po prostu przeniknął przez szklaną tafłę na parterze budynku, po czym odwróciwszy się w stronę Ani, rozpląnął się jak mgła. „Zaczyna mi odbijać” – pomyślała z przerażeniem i zamknęła oczy; bała się je otworzyć. Od razu skojarzyła te dzisiejsze dziwne spotkania z wieczornym uczuciem, że ktoś ją obserwuje. Przeszedł ją zimny dreszcz.

Stwierdziła, że duch Ricka nie bez powodu pojawił się jako jeden z pierwszych z całej plejady duchów w jej życiu. Na swój sposób lubiła bowiem tego bezdomnego. Był pierwszą w Kanadzie osobą naprawdę zaciekawioną tym, co miała do powiedzenia. Co lepsze, obdarty Rick, czytający z zapalem wyrzucane przez przechodniów gazety, potrafił zawsze zaskoczyć ją jakimś wyczytanym na temat Europy szczegółem, nie tak jak poznawani w ostat-

nich miesiącach ludzie, mający blade pojęcie o świecie, który leżał kilkanaście godzin lotu od Kanady. Grono jej znajomych rozrastało się szybko. Do ludzi poznanych w zespole baletowym dołączali coraz to nowi i nowi, ich przyjaciele, rodzina, koledzy, ale Ania zdawała sobie sprawę, że te pogaduszki były płytkie i niewiele znaczące dla obu stron.

– Polska? – słyszała często. – A, jesteście częścią Rosji. Nie, już nie jesteście? Nigdy nie byliście?

Po którejś próbie wyjaśniania, że Polska jest od ładnych kilku lat częścią Unii Europejskiej, że wieżowce ze szkła są elementem krajobrazu także polskich miast, dała sobie spokój z tłumaczeniem na angielski zawilgości polskiej historii. Szybko nauczyła się prowadzić banalne konwersacje o niczym, narzekała jak rodowici Kanadyjczycy na pogodę i jakość piwa, co rusz wtrącając „eh”, używane w niemal każdej sytuacji. Śmiała się nawet, że kanadyjskie „eh” jest równoznaczne z polskim „ej” i jeśli nie ma się pomysłu na rozpoczęcie rozmowy albo jej zakończenie lub gdy – co jej się często zdarzało – zapomina się jakiegoś angielskiego słówka, wtrącenie do zdania „eh” jest najnaturalniejszym i w pełni akceptowalnym sposobem na przekazanie myśli.

Prześlizgiwanie się po powierzchni w kontaktach z ludźmi szybko ją zmęczyło. W Toronto mieszkała już od czterech miesięcy, ale na dobrą sprawę nikt z kanadyjskich znajomych nie znał jej myśli ani uczuć. Z nikim nie mogła się podzielić coraz większą tęsknotą za Polską

i coraz silniejszym poczuciem wyobcowania, które pogłębiało się nie w wynajętym mieszkaniu kilka przecznic od teatru, ale właśnie wśród ludzi. Zespół całe dni spędzał na próbach oraz lekcjach i chociaż Anię zewsząd otaczały smukłe roztańczone postacie, czuła zapach ich potu i słyszała szum różnych akcentów, z nikim nie zdołała nawiązać bliższych relacji. Męska część zespołu obserwowała ją z zainteresowaniem, niektórzy próbowali się z nią umawiać, ale Ania miała głowę nabitą ostrzeżeniami Anastazji, aby nigdy nie wiązać się z tancerzem, więc udawała, że nie zauważa tych starań. Kobiety zaś traktowały ją z ogromnym dystansem, próbując co rusz wy badać intencje nowej, która ośmieliła się wejść na ich terytorium i – co nie ułatwiało Ani odnalezienia się w obcym środowisku – nie szczędziły jej drobnych złośliwości. Na próbach, gdy ćwiczyła swoje partie, milkły rozmowy i spod luster i drążków dawało się słyszeć tylko stłumione śmiechy i gorączkowe szepty.

Ania starała się ignorować te przejawy antypatii. Póki była tylko członkinią *corps de ballet*, póki stała najniżej w baletowej hierarchii, puszczała te złośliwości mimo uszu, starannie jednak zapamiętując, z czyich ust się wydobywały. Wiedziała, że jeśli żadna kontuzja nie stanie jej na drodze, za dwa, może trzy lata będzie tańczyła główne role, a wtedy... Uśmiechnęła się do tej myśli, ćwicząc z trzema koleżankami na południowej próbie wariację czterech łabędzi z *Jeziora łabędziego*. Wielu tancerkom było nie w smak, gdy to właśnie ona została wybrana do

tej czwórki, wykonującej jeden z najstłynniejszych układów. Muzykę do niego kojarzyli chyba wszyscy i Ania doskonale wiedziała, że widzowie, którzy na przedstawienie trafili przypadkiem, czekali zawsze na ten, a nie inny fragment baletu. Cztery łąbodziątka, tańczące zaledwie niecałe trzy minuty, oklaskiwano na równi z solistami, więc fakt, że do pierwszego składu została wybrana właśnie ona, Anna Bednarek, utwierdzał ją w przekonaniu, że karierę solistki ma w zasięgu ręki. Albo – w zasięgu pointy.

– Będiesz kiedyś wielka, złotowłosa – oznajmiał Rick, gdy siadywała z nim na ławce i częstowała jedzeniem, dzieląc się przy okazji baletowymi nowinkami.

Słyszając te słowa, aż unosiła się wysoko nad chodnikiem, wyobrażając sobie przyszłe role, kostiumy, oklaski i tysiące kwiatów przysyłanych przez licznych wielbicieli.

Garderobę wypełniał spory tłum ludzi. Dyrektor artystyczny zaglądał co chwila, wsuwając siwą głowę przez szczelinę w drzwiach i nadzorując wszystko, nawet fryzurę tancerki. Choreograf wykrzykiwał ostatnie rady, które Ania puszczała mimo uszu, świadoma tego, że kwadrans przed rozpoczęciem spektaklu nic już nie będzie zmieniała. Od razu pokochała postać węgierskiej księżniczki oczekującej na powrót swojego ukochanego z bitwy i chciała zatańczyć ją na dwieście procent swoich możliwości. Wie-



działa, że jest doskonale przygotowana, zarówno tanecznie, jak i aktorsko – ostatnia premiera w sezonie miała się odbyć bez żadnych zgrzytów.

Przykleiła sztuczne rzęsy, z zadowoleniem zobaczyła w lustrze, że oczy nabrały dzięki nim głębi, i pozwoliła nałożyć sobie grubą warstwę różu na policzki. Jeszcze na usta szminka w odcieniu chłodnej czerwieni i gotowe! Roztarła ją szybkim ruchem warg, aby równomiernie rozprowadzić kolor, i skupiła się na rękach Tima, który właśnie zbierał jej jasne włosy w ciasny, skomplikowany kok na czubku głowy. Dopiął wokół niego sztuczny warkocz, aby mieć na czym oprzeć dużą i ciężką koronę Rajmondy. Ania potrząsnęła głową, a dziesiątki złocistych koralików doszytych u podstawy korony połaskotały ją w czoło.

– Wyżej, Tim, trochę wyżej – poprosiła. – Nie mogą mi tak wisieć na czole.

W ekipie wyczuwało się napięcie. *Rajmonda* była najważniejszą premierą sezonu, poprzedzoną wielomiesięcznymi przygotowaniem i próbami, więc gdyby teraz coś miało pójść nie tak...

Tim wyjął wszystkie wsuwki z włosów tancerki, włożył je do ust i rozpoczął od początku montowanie ozdoby na jej głowie.

– Spróbuj teraz – polecił, gdy ostatnia spinka została wpięta we włosy solistki. Wyrównał jeszcze koronę i oboje spojrzeli na lustrzane odbicie tancerki.

Ania Bednarek zniknęła – patrzyła na nich młoda i piękna księżniczka skrywająca pod frankami rzes tęsknotę za ukochanym.

– Uwaga, przedstawienie rozpocznie się za piętnaście minut, tancerzy *corps de ballet* i solistów występujących w pierwszym akcie prosimy o przejście na wyznaczone stanowiska – rozległ się donośny komunikat w teatralnym radiowęźle.

Ania wciągnęła głęboko powietrze do płuc i jednym ruchem zrzuciła obszerną koszulkę, po czym szybko przełożyła ręce przez zwiewne rękawki podanego jej gorsetu, opinającego mocno jej kibić. Garderobiana prędko pozapinała kostium na kilkanaście haftek umieszczonych na plecach. Ania przejrzała się w lustrze, poprawiła złocisto-kremowe tutu wyszywane hojnie złotymi nićmi i ozdobione dziesiątkami szkiełek imitujących kamienie szlachetne, przez co waga spódniczki wzrosła o dobry kilogram, i przeciągnęła się jak kot, stając jednocześnie na pointach.

– Okej, wszystko mamy? – zapytała.

Brakowało złocistych kolczyków, mających swobodnie zwisać z uszu i podkreślać kolorystykę kostiumu oraz naszyjnika. Szybkimi ruchami zapięła podaną biżuterię, jeszcze kilkakrotnie musnęła zaróżowione policzki warstewką pudru i nie zdejmując wełnianych ocieplaczy z kostek, wyszła z garderoby, po czym skierowała się w stronę sceny.

\*

Na scenę wychodziła dopiero po kilku minutach od rozpoczęcia przedstawienia, więc ten czas spędzała na ostatnich przygotowaniach i rozciąganiu, obserwując jednocześnie wzmożony ruch za kulisami. Rycerze towarzyszący Jeanowi de Brienne'owi stali już gotowi do wybiegnięcia na scenę, pałacowe dwórki kręciły się jak rozpierzchnięte pisklęta, poprawiając po raz ostatni a to przekrzywione ozdoby włosów, a to wiązania point, to znów lekko odstające spódniczki. Ania oddychała miarowo, starając się stłumić drzemiacę w głębi serca strach, ogarniający ją przed każdą premierą. Viktor stał już na scenie, więc obserwowała z za kulis jego popisy. Zadziwiał techniką skoków, nikt tak jak on nie potrafił zawisnąć w powietrzu na ułamek sekundy, przybierając w tym czasie przepiękną pozę, zatem z przyjemnością patrzyła na niego i cieszyła się, że to właśnie z nim przetańczy dzisiejsze przedstawienie. Był doskonałym partnerem, podtrzymywał ją zawsze pewnie, wiedziała, że gdyby cokolwiek poszło nie tak, zawsze może na niego liczyć. A on na nią. Czasami, gdy zdarzały im się drobne potknięcia, jedno stawało murem za drugim i tuszowali je, wykorzystując cały swój talent aktorski. Jeśli czegoś mogła być pewna, to tego, że ręka Viktora zawsze znajdzie się akurat tam, gdzie oczekiwała, że tancerz złapie ją w tym punkcie ciała, w którym najłatwiej jej było balansować nad jego głową. Całkowicie mu ufała.

– Aleś się na mnie uwiesiła, omal nie skrzyłaś mi karku – żalił się po jednym ze spektakli, gdy tańczyli razem w *Giselle*.

Dramatycznym ruchem rozcierał sobie szyję, spoglądając zawiadziacko na Anię.

Roześmiała się.

– Nie miałam wyjścia, trafił mi się nieco wybrakowany partner: zamiast stać pewnie za mną i podtrzymywać mnie podczas obrotów, nagle zachciało mu się pochylić. Wiem, jestem zbyt pociągająca i nie mogłeś mi się oprzeć – zadrwiła z niego po przyjacielsku. – Ciesz się, że nie runęliśmy razem na scenę, a przy okazji jeszcze buziaka dostałeś.

Niedokręcony obrót i lekkie potknięcie zauważyli tylko nieliczni obecni na widowni, reszta skupiła się na pocałunku dwojga kochanków tańczących na scenie. Ania nawet lubiła takie wpadki – mogła wtedy wyjść poza schemat narzucony przez choreografa i wykorzystując talent aktorski, dodawać drobne gesty płynące z artystycznej duszy.

„Ma sceniczną pewność siebie!” – mawiano o niej. Ta pewność i umiejętność improwizacji wyróżniały ją spośród reszty tancerek. Niejedna po zepsutym układzie zalałaby się łzami po zejściu ze sceny, Ania po prostu postanawiała o tym zapomnieć i kolejny raz zatańczyć perfekcyjnie.

– Aniu, za chwilę twoje wyjście. – Pojawił się przy niej asystent choreografa, więc zdjęła wełniane ocieplacze

z łydek, odwiesiła je na samotny drążek do ćwiczeń ustawiony za kulisami, podreptała przez chwilę w pojemniku z kalafonią, aby zwiększyć przyczepność point, i po raz ostatni przechyliła kilkakrotnie głowę w tył i w przód, chcąc rozluźnić mięśnie karku.

Czekało ją pierwsze czterdzieści minut na scenie – tam nie było miejsca na zmęczoną balerinę z obolałym barkiem, widzowie oczekiwali dumnej, majestatycznej księżniczki i Ania wiedziała, że zatańczy najlepiej jak potrafi.

Mniej więcej w połowie trzeciego aktu coś zmało jej koncentrację. Na scenie odgrywano uroczystości weselne, ona sama płażała z Viktorem, czując coraz większe zmęczenie, bo ich baletowe popisy trwały już dobre dwie godziny, gdy na widowni pojawiła się postać kobiety, zmierzająca szybkim krokiem przez lewe przejście. Nic sobie nie robiła z trwającego przedstawienia, tylko biegła w rozwianej sukni. Anka zachwiała się podczas obrotu i poczuła na twarzy pytający wzrok Viktora. Wiedziała, że źle wykonała piruet – nie złapała równowagi i za słabo wyprostowała plecy. Uniosła dumnie brodę. Trudno, stało się, zresztą za chwilę zatańczy jedną z ulubionych solowych wariacji, za którą z pewnością zbierze owacje na stojąco. Kobieta w rozwianej sukni zniknęła jej z oczu; widocznie była to spóźnialska, która szukała swojego miejsca na widowni.

Popisową wariację Rajmondy wykonywano tuż przed zakończeniem ostatniego aktu baletu. Ania lubiła ją ze względu na ulotność. To jedyna wariacja w balecie klasycznym, w której balerina tańczyła tylko przy dźwiękach fortepianu. Cała orkiestra milczała, pozostali tancerze oddawali pole do popisu solistce, cofając się aż pod kulisy, a scenę we władanie obejmowała jedna osoba.

Ania przystanąła pośrodku, czekając, aż za jej plecami zapanuje bezruch i zapadnie cisza – sygnał, że wszyscy już zajęli swoje miejsca i może zaczynać. Wyciągnęła przed siebie ramiona i nie czekając na pierwszy takt melodii odgrywanej przez pianistę, mocno klasnęła. Uwielbiała uczucie ciepła napływające do dłoni po każdym takim akcencie. Wariacja obfitowała w trudne *pas de bourrée*, a klaskaniem tancerka podkreślała swój majestat. Oparła dłonie na biodrach, pod czubkiem pointy poczuła twardą, gumowaną nawierzchnię sceny i zaczęła wirować. Widzowie z zapartym tchem obserwowali, jak płynnie miękko to w przód, to w tył, a ona zdawała się nie zwracać uwagi na śledzące ją spojrzenia. Głowa dumnie uniesiona, ramiona podkreślające każdą pozę, w jej tańcu było coś nieuchwytnego i nieziemskiego, chociaż kroki stawiała pewnie i władczo.

Na czubkach palców tańczyła od dobrych dwóch minut. Odrywała je od podłoża tylko na ułamki sekund, ani razu nie oparła się na pięcie, więc stopy bolały już mocno, ale o tym widzowie, chłonący wzrokiem jej delikatne popisy, nie mieli się nigdy dowiedzieć. Pomyślała,

że to wyjątkowo samotna wariacja, zwiastująca koniec jakiegoś etapu w życiu i początek następnego. Była sama. Tylko ona, fortepian i pusta scena.

Ale scena wcale nie była pusta. Ania dojrzała na niej kilka osób, które stały pomiędzy przebranymi za dworzan tancerzami i nie spuszczały z niej oka. Kobieta w sukni też znajdowała się wśród nich i... Nie, to niemożliwe – spostrzegła tam również obdartego Rudego Ricka! Ani z przerażenia zaschło w gardle. Zbliżyła się lekkim krokiem w stronę intruzów i zauważyła, że kobieta w sukni ma twarz Anastazji Sergiejewny, jej nieżyjącej nauczycielki tańca klasycznego ze szkoły baletowej na Staromiejskiej.

Szok spowodowany tym widokiem sprawił, że napięte mięśnie nóg nagle odmówiły posłuszeństwa. Zupełnie jakby ktoś ją wyłączył – w jednej chwili stała na pointach, wyciągając dłonie ku zjawom, a w następnej – leżała na twardym podłożu i widziała jedynie wirujące przed oczami światło żyrandola. Po chwili i ono zgasło. Ktoś dotknął jej policzka. Uchyliła powieki i zobaczyła nad sobą blondynkę, której twarz oglądała do tej pory jedynie na nielicznych zdjęciach.

– Mamusia... – wyszeptała, walcząc ze łzami cisnącymi się do oczu. – Mama...

---

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.  
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c  
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,  
faks 22 643 70 28  
e-mail: [wnk@wnk.com.pl](mailto:wnk@wnk.com.pl)

Dział Handlowy  
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42  
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32  
e-mail: [sklep.wysylkowy@wnk.com.pl](mailto:sklep.wysylkowy@wnk.com.pl)

[www.wnk.com.pl](http://www.wnk.com.pl)

---

*Książkę wydrukowano na papierze  
Ecco-Book Cream 60 g/m<sup>2</sup> wol. 2,0.  
ANTALIS Polska*

Redaktor prowadzący *Anna Garbal*  
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*  
Redakcja *Anna Brynkus-Weber*  
Korekta *Przemysław Komendula, Ewa Mościcka*  
Opracowanie DTP, redakcja techniczna  
*Agnieszka Czubaszek-Matulka*

ISBN 978-83-10-12632-0

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015 r.  
Wydanie pierwsze  
Druk: Nasza Drukarnia